

REKONESANS

Mieczysław Ślesicki



Mieczysław Ślesicki

REKONESANS

© Copyright by Mieczysław Ślesicki

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

Grafika na okładce: shutterstock

ISBN e-book 978-83-8166-226-0

ISBN druk 978-83-8166-227-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2021

ROZDZIAŁ 1

Nazwałem ją Nel. Do teraz nie wiem, dlaczego? Próbowałem znaleźć wytłumaczenie w naiwnym przywiązaniu do uroczej bohaterki ciekawej powieści, którą pamiętałem z dzieciństwa. Moja Nel też była niezwykła, jak tamta, chociaż znacznie starsza. Być może były inne przyczyny, tkwiące gdzieś głęboko poza obszarem logicznego wyjaśnienia. Mówiłem do niej Nel, a ona nie miała nic przeciwko temu.

– Może przestaniesz – powiedziała.

Stała przed lustrem. Nakładała na twarz delikatną warstwę kremu, aby po raz kolejny oczarować świat, który już dawno stracił urok niewinności.

– Nie mogę na ciebie patrzeć? – spytałem.

– Możesz, ale nie tak.

– Jak?

– Nie tak zachłannie, jak głodny wilk.

– Jak wilk stepowy? – odparłem.

Nel odwróciła się i zamrugała oczami. Uchwyciła aluzję bez najmniejszego trudu.

– Sądzisz, że nie czytałam...

– Znamy się zbyt krótko. Nie poznałem wszystkich twoich atutów.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Mnie również trapią egzystencjalne niepokoje. Nie zauważyłeś na obrazach? Szukam...

– Na razie widziałem tylko jeden. Ten niedokończony. Malujesz światłem, zacierasz kontury... To znaki niezbyt czytelne...

– Wiele płócien zostało w domu. Musiałam stamtąd uciekać. Mój świat jest zbyt kontrowersyjny. Męczyłam się w mieszczańskim zaduchu.

– Podałaś adres rodzicom?

– Nie zapominaj, że mam dwadzieścia trzy lata.

– Nie możesz porzucić studiów.

– Zdałam wszystkie egzaminy. Studiuję zaocznie. Na uczelnię wracam w październiku. Spokojnie.

– A teraz chcesz przeżyć wakacyjną przygodę?

– Z tobą – odparła i podeszła do łóżka.

Szlafrok zsunął się z jej ramion. Odsłonił urzekającą biel drobnego ciała. Powoli wsunęła rękę pod kołdrę i zacisnęła dłoń na sprężystej przeszkodzie.

– I z tym gościem też... – dodała.

Kiedy wyszła, jeszcze drzemałem. Czasami miałem wątpliwości, czy ona naprawdę istnieje. Była jak jedna z bohaterek mojej książki – zwiewna, ulotna, nieprzenikniona. Nie pytałem jej o uczucia. To zbyt proste. Mogła bez trudu powiedzieć, że mnie kocha. Mogła udawać miłość – to dzisiaj nic nie kosztuje. Najważniejsze, że była obok mnie i chyba czuła się dobrze.

Wstawała wcześniej. Najczęściej o piątej rano. Krzątała się dyskretnie po mieszkaniu, zaglądała do łazienki, szykowała

makijaż. Piła kawę dużymi łykami, siadała potem na krawędzi łóżka i patrzyła na mnie z wyrazem groteskowego rozczerwienia.

Czasami pytała:

– Wiesz, co dzisiaj będziesz pisał?

– Wiem – odpowiadałem.

Nie zawsze wiedziałem, ale liczył się twórczy duch. Ona też pracowała – od miesiąca. Nie chciała zdradzić gdzie. Wstydziła się w zupełnie mieszczańskim stylu. Nie miałem złudzeń – to był na pewno jakiś sklep lub coś podobnego. Zawsze przynosiła zakupy. Nie lubiła reklamówek z rączkami – szukała takich, które pochodziły z różnych firm. To był naiwny kamuflaż. Przyśięgałem, że nigdy nie pójdę jej tropem, aby zbadać, gdzie przebywa. Powiedziała, że wkrótce wszystko wyjaśni.

Właściwie nie miałem większych problemów – mogłem pisać – to była największa satysfakcja. Nieoczekiwanie dzięki błyskotliwej transakcji – sprzedałem antyczny motocykl ojca – zarobiłem trochę grosza. Wystarczyło na wynajęcie skromnego mieszkania i liche wyżywienie. Co prawda Nel wspierała nasze fundusze, ale było pewne, że wkrótce wszystko może się zmienić. Na razie nie obciążałem sobie głowy podobnymi drobiazgami.

Liczyło się tworzenie. Siadałem do wysłużonego laptopa już o siódmej rano. Piłem parującą kawę, stojącą na biurku, a po chwili zatapiałem się w barwny świat, który budowałem bez specjalnego wysiłku. Stawiałem moich bohaterów przed trudnymi wyborami, zmuszałem do podejmowania ryzykownych działań, a kiedy spełnili swoją misję, rozstawałem się z nimi z żalem, ale z nadzieją, że nigdy o nich nie zapomnę. Pisanie odgradzało mnie od realnego świata barierą niezwykłych przygód,

klimatem trudnym do osiągnięcia w rzeczywistości. Było lekarstwem zagłuszającym barbarzyńskie odgłosy, nadciągające z zewnątrz; było jak magiczna maść, łagodząca egzystencjalne rany.

I była jeszcze Nel. Wciąż nienasycona, spragniona niezwykle wrażeń. Gotowa w każdej chwili przerwać najbardziej intensywne igraszki, aby podejść do swojego obrazu, stojącego na sztalugach, przeciągnąć pędzlem jedną linię i wrócić do absorbującej, niedokończonej jazdy. Łatwiej tłumaczyłem motywy działania moich bohaterów niż jej postępowanie i odruchy.

Zaskakiwała mnie nieraz w środku nocy, kiedy sen nie nadchodził, a wiatr złowieszczo gwizdał w nieszczelnych spoinach.

– Dlaczego nie śpisz? – pytała.

– Myślę.

– Znowu?

– Nie umiem inaczej.

– Teraz masz spać. W myśleniu też obowiązują granice. Nie można ich przekraczać.

– Chcesz powiedzieć, że widzę za dużo? – spytałem.

– Tak. Tak myślę.

– Nic na to nie poradzę. Taki jestem. Wyobraźnia bez granic to szansa stworzenia czegoś niepowtarzalnego. Jestem na dobrej drodze. Moja powieść będzie niezwykła. To książka o życiu, nie żadne fantazje.

– Jesteś naiwny – powiedziała. – Ludzie potrzebują iluzji. Realnego życia mają dość. Nie zauważyłeś tego? Opowiedz im najpiękniejszą bajkę, a będziesz uwielbiany. Popatrz na Marqueza. Sławę zdobył dzięki mitycznemu Macondo, które nigdy nie istniało. Zresztą, śpij.

- Czytałaś „Sto lat samotności”?
- Tak. I jeszcze kilka innych książek. Śpij. Wstaję o piątej.
- Śpię – odparłem bez przekonania.

Imponowała inteligencją i oczytaniem. Dojrzałość intelektualna Nel przejawiała się w traktowaniu zdobytej wiedzy jako naturalnej busoli niezbędnej do poruszania się po świecie, rozpoznawania jego zawiłych znaków i symboli. Miałem wrażenie, że często wie i rozumie więcej niż okazuje w danym momencie. To był dyskretny urok jej osobowości.

Oprócz zainteresowań artystycznych łączyła nas również wspólna niechęć do telewizji. Stopień dobrego smaku, obłudy i oglupiania społeczeństwa przekroczył tam wszystkie granice przyzwoitości. Telewizja stała się narzędziem totalnej manipulacji świadomością, wolą i uczuciami ludzi. Natrętne reklamy dokończyły dzieła zniszczenia szlachetnej misji, która rysowała się na początku jej drogi. Wiedzieliśmy, że telewizja wyhodowała sobie specyficzny typ odbiorcy – niewolnika, który bezskutecznie usiłuje oderwać się od ekranu – zaborczego pana, władcy uciekającego czasu. Jego świat nie wykracza poza ramy określone przez szklany ekran. Spostrzega rzeczywistość przez pryzmat standardów narzuconych przez to niebezpieczne medium. Wszystko, co znajduje się poza obszarem kamery nie należy do realnego świata – tego po prostu nie ma. Nie istnieją niektóre zjawiska, nie ma pewnych problemów, spraw, a przede wszystkim ludzi, których brak w telewizji skazuje na niebyt. Oni nie istnieją – przestają być ważni. Nie liczą się w grze.

Nel zauważyła też inną stronę masowego skażenia świadomości.

– Jeszcze nigdy miernoty i beztalencia wszelkiej maści tak łatwo i szybko nie osiągnęły sukcesu! – powiedziała któregoś dnia.

Nie podejrzewałem jej o tak wnikliwą ocenę. Żyła przecież jakby w lekkim uśpieniu, daleko od spraw publicznych.

Zresztą, brak orientacji w medialnym ogłupianiu wcale nie był żadnym usprawiedliwieniem, a wręcz stanowił przykrą skazę. Nel doświadczyła tego na sobie.

– Co za cholerni ludzie! – powiedziała kiedyś po powrocie z pracy.

Zrezygnowana usiadła na tapczanie. Patrzyła osłupiała na zakurzony telewizor, który stał w kącie.

– Co się stało? – spytałem.

– Dzisiaj po raz pierwszy w życiu czułam się jak czarna owca. Chyba rzucę tę pracę. Mam już dość. Rozumiesz?

– Nie za bardzo.

– Okazałam się głupią, zacofaną babą. Tak mnie oceniły koleżanki, ponieważ nie znam imion wszystkich uczestników Big Brothera i nie wiem, kogo wyrzuci teraz Wielki Brat. Co ty na to?

– Ja też nie wiem – odparłem bezradnie. – Czyli oboje jesteśmy kretykami. Teraz już łżej? Widocznie nie należymy do ich świata. Mam nadzieję, że oni – oświeceni kineskopem, pozwolą nam żyć?

Usiadłem obok Nel, objąłem ramieniem, przytuliłem.

– Dokąd zmierza świat? – spytała.

– Do przodu – odparłem. – Coraz dalej od jaskiń.

– Naprawdę?

Ale rozterki Nel nie miały skończyć się tak szybko. Musiała wytrzymać jeszcze jeden cios, który nadszedł z nieoczekiwanej strony.

– Trzeba trochę posprzątać! – powiedziała pewnego dnia.

Nie była w dobrym nastroju.

– Jest czysto – odparłem zdziwiony.

– Odwiedzi nas koleżanka. – mówiła bez przekonania, z oporem.

– Mieliśmy...

– Tak, wiem. Mieliśmy unikać kontaktów towarzyskich dopóki nie ukończysz książki – wyrecytowała. – Ale nie miałam wyjścia. Mariola to sympatyczna dziewczyna. Znamy się ze szkoły podstawowej. Mogę powiedzieć – dawna przyjaciółka. Właściwie wprosiła się. Nie miałam wyjścia...

– Trudno – odparłem. – Muszę powiadomić zakład oczyszczania miasta. Niech zrobią tutaj porządek.

– Nie wygłupiaj się. Ona przyjdzie za godzinę.

– A kiedy wyjdzie?

– Zobaczymy – odparła i zabrała się do układania rzeczy.

To prawda - podczas pracy nad książką unikałem kontaktów z otoczeniem, które ograniczałem do niezbędnych spraw. Pisanie, jak każda dziedzina sztuki, wymagało skupienia i namysłu. To fascynujący proces fermentacji myśli i uczuć, niezwykłego wzlotu ducha, którego łatwo spłoszyć zgiełkiem nachalnej, przyziemnej codzienności i bełkotliwej paplaniny. Ale teraz byłem gotowy na ustępstwa. Nel bez trudu roztopiała moje najbardziej rygorystyczne postanowienia.

Punktualnie o szesnastej usłyszeliśmy dzwonek. Właściwie

wszystko było przygotowane. Zdążyliśmy na czas. Na stole dumnie wypinał się szampan. Mariola przyszła z chłopakiem, który wkrótce okazał się jej narzeczonym. Stanowili sympatyczną parę, chociaż zaniepokoiły mnie pewne szczegóły, które zdążyłem zauważyć.

Mariola była zakłopotana widokiem niezliczonej ilości książek, zalegających wszędzie.

– Książki... – powiedziała zaraz po wstępnej prezentacji. – Dużo... – dodała, ale zabrzmiało to jak zarzut.

Widać, że spodziewała się innych, atrakcyjniejszych ozdób mieszkania.

– To niepełna kolekcja Mariusza – odparła Nel.

– Pracujesz w bibliotece? – spytała Mariola, a jej ładne oczy, podkreślone zbyt jaskrawym, niebieskim cieniem zabłysły przelotnym flirtem.

Nie mogłem skompromitować się wyznaniem, że sam piszę książki. Czesław – chłopak Marioli o postawie Arnolda Schwarzeneggera, w milczącym napięciu świdrował mnie niepewnie małymi oczkami.

– Skąd – odparłem. – Prowadzę handel obwoźny książkami. Z czegoś trzeba żyć.

Nel zamrugała oczami, otworzyła usta, ale szybko zrozumiła mój wybieg.

– No! – krzyknął Czesław i uderzył otwartą dłońią w swoje kolano. – Od razu żem wiedział, że jesteś swój chłop! Graba! – wyciągnął do mnie rękę. – I polewamy!

– Czesław dzierżawi pralnię – tłumaczyła Mariola, kiedy przełamaliśmy pierwsze lody. – Biznes z tego niewielki, ale idzie

wyżyć. Na opłaty wystarczy, ale luksusu nie ma. Wszystko przez te podatki.

– Mariusz – powiedział Czesław podniecony drugą lampką szampana. – Gdybym tak dorwał tych od podatków, gdybym ja złapał takiego gnoja...

– Jezus! – krzyknęła nagle Mariola i spojrzała na zegarek. Byłem pewny, że za chwilę zemdleje. – Serial! Boże, już się zaczęła! Włącz telewizor! Szybko!

– Włącz, Mariusz – powiedział Czesław. – Ona ma bzika na punkcie tego filmu. Która to już część, Mariola?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Dzisiaj jest dwa tysiące dwieście dwudziesty odcinek! Szybko! Może jeszcze zdążymy!

Siedziałem przykuty do fotela i nie wiedziałem, jak im powiedzieć, że telewizor jest zepsuty.

– Przykro, ale telewizor nie działa – odparłem w końcu.

– Jasna cholera! – krzyknęła Mariola. – Tego się nie spodziewałam. – Spojrzała na nas z ledwo hamowanym gniewem. – Co za dom!

– Mariola! – powiedział Czesław, łagodząc jej uniesienie wymuszonym uśmiechem. – Tak sobie ludzie żyją i jest im dobrze. Nie, Mariusz?

Nel była zdruzgotana. Nie widziała jeszcze takiego ataku furii.

– A może da się go naprawić? – powiedziała w końcu, patrząc z nadzieją na narzeczonego.

– Ja się trochę znam – odparł Czesław.

Schwarzenegger podszedł do telewizora.

– Szkoda czasu, Czesiu – powiedziała Mariola obrażonym głosem. – My już podziękujemy!

Mariola wstała i spojrzała na zegarek.

– Miło nam... – powiedziała Nel zakłopotana.

– Bardzo... – odparła Mariola. – Dziękujemy za gościnę...

Najgroźniejszy wąż nie mógł mieć tyle jadu, ile znajdowało się w tych słowach. W drzwiach Czesław uściśnął moją dłoń na pożegnanie. Kości chrupnęły niebezpiecznie. Czułem, że przez tydzień nie ruszę żadnym palcem.

Kilka dni później postanowiliśmy wyjść na spacer. Był piękny, czerwcowy wieczór. Szliśmy obok siebie przytuleni, jak wiele par, które mijały nas po drodze. Nie różniliśmy się niczym od innych, oprócz jednego – intensywniej odczuwaliśmy nasze wyobcowanie.

– Jestem zmęczona – szepnęła.

– Wracamy? – spytałem.

– Nie o to chodzi.

Wiedziałem, że miała na myśli coś innego. Wyraz jej twarzy zdradzał znużenie. Między brwiami pojawiła się delikatna zmarszczka zniecierpliwienia.

– Nie uciekniesz od nich – powiedziałem, kiedy nieoczekiwanie skrzyła w bok na widok nadchodzących ludzi.

Wzruszyła ramionami i znowu zapadła w kontemplacyjne milczenie. Próbowiałem rozwikłać przyczyny jej zaskakującej irytacji. Drążyłem uparcie zakamarki kobiecej duszy, aby wydobyć z mroków światło tajemnicy. Uświadomiłem sobie wtedy, że tak naprawdę niewiele o niej wiem – zwłaszcza o jej przeszłości.

Poznaliśmy się w zaskakujących okolicznościach – na jednej z uliczek prowadzących do starego rynku. Wracałem o piątej

rano z dworca kolejowego. Byłem zmęczony całonocną podróżą. Nagle zauważyłem młodą kobietę siedzącą na ławce. Była bez płaszcza. Drżała z zimna. Z opuszczoną głową i rozsypanymi włosami sprawiała wrażenie bezbronnej i zrozpaczonej. Kiedy podszedłem bliżej, powoli podniosła głowę. Oczy miała rozmazane, ale nie płakała. Dostrzegłem w niej wyraz zacięcia i desperacji. I jeszcze to, że była piękna. To była kobieta, której zawsze szukałem. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę z ciekawością i zaskoczeniem. O piątej rano, na wyludnionej, chłodnej ulicy nie myśli się o miłości, ale ja wiedziałem, że to jest ona. Wtedy bez słowa zdjąłem własne buty i nałożyłem jej na bose stopy. Nie pytałem, gdzie zostawiła swoje pantofle, jak się tutaj znalazła i na kogo czeka. Było pewne, że czekała na mnie. Wolno, bez słowa ruszyliśmy do mojego domu.

A teraz Nel znowu potrzebowała pomocy.

– Może gdzieś wyjedziemy? – spytałem. – To często pomaga.

– Pomaga? – odparła. – W czym?

– W przełamaniu kryzysu.

– Sądzisz, że przeżywam kryzys? Na jakim tle?

– Męczysz się, bo robisz to czego nie lubisz? Jesteś stworzona do innych spraw – powiedziałem. – Nie musisz się tak poświęcać. Jakoś sobie poradzimy. Jest tyle sposobów na zdobywanie pieniędzy.

– Mam zrezygnować z...

– Tak. Poza tym skończyłem książkę. Czas najwyższy to uczcić – odparłem.

– Dopiero teraz mi to mówisz?

– Nie chciałem zapeszać. Sam nie wierzyłem, że dobrnę do końca.

Zatrzymaliśmy się pod pięknym dębem w ciemnej już alei. Nel kiwała głową zawieszona na mojej szyi. Całowaliśmy się przez chwilę. Widziałem blask w jej oczach, a może nawet wzruszenie. Nie mogłem uwierzyć, że dotąd poświęcała się dla mnie.

– Chodź! – powiedziała. – Teraz im pokażę.

– Gdzie?

– Idziemy!

Wyszliśmy z parku prawie biegiem. Nel zaskakiwała niezwyczajną żywiołowością. Trochę obawiałem się takiej nagłej zmiany nastroju. Tylko na chwilę zatrzymaliśmy się przed jednym z nocnych kiosków. Nel kupiła kilka pisaków, blok papieru i taśmę klejącą.

– Co ty wyrabiasz? – spytałem.

– Zaraz zobaczysz! – odparła.

Wkrótce staliśmy przed witryną zamkniętego sklepu spożywczego. Nel upewniła się, że nikogo nie ma w środku. Zaczynałem wreszcie rozumieć, o co chodzi.

– To twój sklep? – spytałem. – Tutaj pracujesz?

– Pracowałam – odparła i przykleiła na szybie arkusz z imionami.

– Manuela, Sebastian, Janusz... – wybuchnąłem śmiechem. – To ci z Big Brothera?

– Wszyscy – powiedziała Nel z satysfakcją. – Nigdy już tutaj nie wrócę!

Nie przypuszczałem, że w jednej chwili rozładujemy tyle emocji. Nel dość szybko odzyskiwała równowagę. Ze mną było gorzej. Wychodzenie z pisarskiej izolacji, niezbędnej podczas tworzenia, przypominało trochę wynurzanie się z głębokiej

studni. Już widać skrawek nieba, już słyszać przeróżne dźwięki, ale jeszcze nie można określić, gdzie siedzi orkiestra. Jeszcze długo mroczne głębie twórczej otchłani trzymają za nogi. Nie pozwalają tak szybko rozwinąć skrzydeł nad barwną panoramą realnego życia.

Postanowiliśmy z marszu uczcić dwa doniosłe wydarzenia. Wstąpiliśmy do małej restauracji podzielonej na sektory wysokimi parawanami. Było tutaj przytulnie i intymnie. Wymarzone miejsce dla zakochanych. Ale mnie teraz ciągnęło do ludzi. Chciałem wokół słyszeć gwar, ujrzeć galerię przeróżnych postaci, napawać się do syta magią ludzkiego żywiołu.

– Wychodzimy – powiedziałem.

– Dlaczego?

Nel była rzeczywiście zdziwiona.

– Jest za spokojnie.

– Za spokojnie? I ty to mówisz?! – Oczy Nel rozszerzały się coraz bardziej.

– Niestety.

– Nie poznaję ciebie.

– Świat tonie w paradoksach – odparłem z uśmiechem – Ich twórcą jest człowiek.

– W takim razie może pójdziemy do cyrku! Widziałam gdzieś ogłoszenie. To będzie najlepsze miejsce na dzisiejszy wieczór.

– Wybieram dobrą zabawę z szampanem – odparłem. – Co ty na to?

– Mam inne wyjście? – spytała Nel. – Zgoda.

Ale znalezienie właściwego miejsca nie było wcale łatwe. Wystarczyło podejść do sali skąd dochodziła jakaś muzyka,

a już wyłaniali się z mroku odurzeni małolaci, znudzeni światem w siedemnastym roku życia. Snuli się jak widmowe postacie z horrorów spod znaku Freddiego Kruegera. Z kapturami na ogolonych głowach zaczepiali każdego, kto miał w kieszeni chociaż złotówkę. Wyciągali drżące ręce po każdy grosz, byle ochłap, który dawał im szansę przeżycia jeszcze jednej bezsensownej nocy. A kiedy słyszeli odmowę, pluli na ziemię i wyzywali na cały świat odpowiedzialny za ich nieszczęśliwy los i zhańbione życie. Bardziej przebiegli włamywali się do aut drzemiących na parkingach, wyrwali radia. W akcie zemsty kradli wszystko, co miało nawet niewielką wartość, aby to szybko sprzedać na pobliskiej melinie.

Kiedy jeden z nich zaczepił nas po raz kolejny, powiedziałem:

– Źle trafiłeś. Też jesteśmy splukani. Pożycz nam dychę. Chcemy się nawalić, jak ty i o wszystkim zapomnieć.

Spod nisko opuszczonego na oczy kaptura wydobył się jakiś bełkot. Zaskoczony małolat okręcił się na pięcie w stylu break-dance. Potem uderzył się dłonią w czoło i nagle zaczął uciekać.

Nel patrzyła na wszystko z niemym osłupieniem. Dopiero po chwili odzyskała głos.

– To niesamowite – powiedziała. – On chciał nam chyba przyłożyć?

– Musiałem rozbroić tę minę. Nie lubię ulicznej bijatyki. Szukamy dalej?

– Nie. Wracamy do domu.

– To będzie najlepsze rozwiązanie – odparłem.

Po drodze Nel zapytała jeszcze:

– Mariusz.

– Tak.

– Kogo było więcej w tamtej scenie, aktora czy pisarza?

A jak sądzisz?

Nie wiem.

I niech tak zostanie.